

Prowadzenie samochodu nie jest w teorii takie trudne. Cóż. Teoria jak to czasem bywa, jest łatwiejsza niż praktyka. No, bo wiecie, zazwyczaj jest tak: weźmiesz się zapiszesz w ośrodku szkolenia kierowców (czytaj przyszłych piratów drogowych), powiedzą ci ile masz dać kasy, zrobią badania lekarskie, wykłady (o ile zdąży je kiedykolwiek zrobić, w moim przypadku - nie zdążyli), dadzą ci książeczki o tematyce jak (w teorii) nie zostać piratem i jakie masz obowiązki na drodze. Czasami kopsną ci jeszcze płytkę z testami. Siedzisz nad nimi ze dwie, trzy godziny i masz już dość! Rzucasz płytkę w kąt, ikonę usuwasz z pulpitu, bo ci się tak dziwnie rzuca w oczy, a na razie do wewnętrznych daleko, więc mogą sobie poczekać. I tak mija dzień za dniem. Tydzień za tygodniem. Nadchodzi dzień grozy. Egzamin wewnętrzny. Masz dwie opcje - zdasz i wyjdiesz na cwaniaka. Nie zdasz wyjdiesz na niedojdeżyciową, lub człowieka nie mającego głowy na swoim cholernym miejscu. Tak powinno być w teorii. W praktyce jest zupełnie inaczej. I ja wam uświadomię, na swoim własnym, żalonym, dziwacznym, groteskowym przykładzie jak to w życiu różnie bywa.

Jest koniec marca. Wiosna się zaczyna, na podwórku już można zauważyć komary i dziwaczne zielone pędy wyglądające później jak trawa. Zostały mi jeszcze... Ach nie ważne. W każdym bądź razie w czerwcu są moje urodziny. Dzwonię więc, do ojca mojego kolegi. Prowadzi on ośrodek szkolenia kierowców. Już za pierwszym razem się do niego dodzwoniłam. Sukces! Fajnie, nie wiem kiedy mam jakąś teorię, ale jestem już na jazdy zapisana.

Pierwsza jazda zaczyna się od słów: "Jeździłaś już kiedyś samochodem? Pokaż gdzie jest sprzęgło, hamulec gaz. Sprzęgło, gaz, sprzęgło. Ustaw lusterka, siedzenie. Tak. No to zapalaj silnik i jedziemy". Drżącymi rękoma dotykam kluczyków, przekręcam je i naciskam ostro gaz. Samochody mojego ojca i mamy to nie ople, więc żeby zapalić to i gazu trzeba dodać. Pierwszą naganę, za naciśnięcie gazu w nieodpowiednim momencie mam już za sobą. Bardzo powolutku jadę. Prowadzę samochód! Mijają minuty, godzina, dwie. Jestem już wykończona. Odwożę się po dom. Jestem już umówiona na następny wtorek. Fajnie nie?

Mój entuzjazm gaśnie, gdy przyjeżdżam wraz z koleżanką na pierwsze wykłady. To już środek maja. Kilkanaście godzin wyjeżdżonych. Z różnymi instruktorami rzecz jasna, bo szef jest ciągle zajęty, ja wiem dobrze czym, ale wam nie powiem. Nie będę młodzieży przecież gorszyć. Po dwudziestu minutach spóźnienia najpierw słyszymy ryk silnika, potem samochód. Nie wygląda to najlepiej, ale co tam. To tylko "elka". Instruktor bardzo sfrustrowany wysiada z pojazdu. Spogląda na nas dziwnym wzrokiem i pyta: "tylko wy jesteście?". Patrzę na Justynę, ona na mnie. O ile mnie wzrok nie myli, to jesteśmy tutaj we dwie. Z matmy jestem słaba, ale takie rachunki to w głowie bez problemu wykonuję. "Tylko my" odpowiadam w gwoździści. "No to sobie takich jaj nie będziemy robić! Wsiadajcie dziewczyny do samochodu. Zrobię wam dzisiaj jazdy". I owszem jazdy miałyśmy najoryginalniejsze, jakie mogły tylko być. Wyjechałyśmy spod szkoły, gdzie miały być wykłady, o osiemnastej dwadzieścia. Wróciłyśmy o dwudziestej drugiej. Po drodze stałyśmy pod sklepem o wdzięcznej nazwie "carrefour" przez ponad pół godziny, przyczepił się do mnie jakiś alkoholik i stwierdził, że jak nie ma instruktora, to on może za niego dorabiać i weźmie nas do Warszawy. Tak, tak. Po dziesięciu minutach poczłapał gdzieś, wkurzyć innych ludzi. Wróciłyśmy o dwudziestej drugiej, jak już wcześniej wspomniałam. Rowery, którymi przyjechałyśmy zostały pod szkołą. Był piątek. Brama zamknięta. Ja zmarznięta i zdenerwowana, no bo późno już, chce mi się siku, a nie mam gdzie. Podejmuję decyzję: PRZESKAKUJE PRZEZ OGRODZENIE. Biorę rower kumpeli, podaje jej go. Z moim idzie gorzej - jest cięższy, ale jakoś udaje mi się go wyciągnąć. Ja sama, też się nieźle nagimnastykowałam żeby jakoś nie zlecieć z płotku. Wsiadam na rower i ze zdziwieniem stwierdzam, że nie mam działających świateł. Fajnie - ciemno jak w czterech literach, do domu ponad cztery kilometry, w tym dwa przejechane samotnie, droga nie wszędzie oświetlona. Jakoś udaje mi się dojechać w jednym kawałku, chociaż w pewnym momencie myślałam, że

będę lądować w rowie.

Później kiedyś skreśliłam kostkę w stawie skokowym. Dwa tygodnie nie mogłam jeździć. Wróciłam, jeździłam, znów miały być wykłady. Tym razem, na pewno mi nie uwierzycie, ale ich nie było. Przyjechał syn Olka, Seba, i oznajmił, że ojciec nie da rady przyjechać. Wkurzyłam się, wsiadłam na jego motor i bez kasku pojechałam do domu. Tym razem nie byłam na rowerze. Tatuś się zlitował i kazał dzwonić w razie gdyby wykładów nie było. Jasnowidz z niego jakiś czy co?

Jazdy prawie mi się kończą. Zostało z dziesięć. Przez cztery dni próbuję się dodzwonić do Olka. Odebrał, ale prowadził samochód (a może chciał powiedzieć, że ujeżdża z pewną fryzjerką konia?), stwierdził że za chwile oddzwoni. Dupa. Wyłączył telefon. Piątego dnia, postanawiam pojechać do jego ośrodka. Ułożyłam sobie już długie przemówienie na temat tego, że mi się takie postępowanie nie podoba, że jak tak dalej pójdzie to biorę swoje zabawki i zmywam się do innej piaskownicy. Trafiłam akurat na moment w którym Olek prowadził wykłady. Zapukałyśmy, otworzył uprzejmie drzwi, kazał chwilę poczekać. Wziął swój zeszyt i zapisał nas na jazdy. Kazał też robić testy. Okazuje się że wewnętrzne. Fajnie, bo się nie uczyłam. Trzy byki. Justyna też. Trudno się mówi. Wpisują nam w kartach że jest ok. Straciłam dwa dwadzieścia na bilety. Justyna ponad dwanaście, bo nie ma miesięcznego.

Ostatnia jazda, jaką miałam (dwudziesta druga czy jakoś tak) przeszła najśmielsze moje oczekiwania. Jak z domu wychodziłam, była śliczna pogoda. W mieście okazało się, że jest oberwanie chmury, drogi prawie nie przejezdne. Wycieraczki nie nadążały, jechałam dwadzieścia na godzinę, modląc się, przeklinając i prowadząc jednocześnie. Uszczelki w starym, prawie zdezelowanym samochodzie przepuszczały wodę. Miałam cały lewy but i łokieć mokre. Zaparowane szyby przed nosem (dobrze że mi jeszcze szkiełka w okularach nie parowały bo by było całkiem "mgliście"). Stanie w korku przez pół godziny i przejechanie trzystu metrów, sprawiło że chciało mi się wyć do księżyca, którego niestety nie było zza chmur widać.

Dojechałam do domu. Cała. Zdrowa. Głodna. I oczywiście zła. Na wszystko. Na siebie. Na samochód, który przecieka. Na instruktora. Na mamę, że cos tam do mnie powiedziała. Życie mnie dołuje, szczególnie gdy myślę o tym, jak pięknie jest robić prawo jazdy w ośrodku takim jak ja. Wspaniałe wykłady, nie spóźniający się instruktorzy ("Bo korki były na mieście" i to jest wytłumaczenie spóźnienia półgodzinnego), nie psujące się samochody ("nie zaciągaj ręcznego i tak nie działa!"), robienie wszystkiego co jest wymagane na jeździe egzaminacyjnej (tunel miałam na godzinie osiemnastej, parkowania na godzinie dwudziestej drugiej jeszcze ani widu ani słychu). Cieszę się, że jestem szczególnym człowiekiem (przez pierwsze pięć jazd nie potrafiłam wrzucić porządnie trzeciego biegu, bo mi jedynka wskakiwała i nikt mi nie tłumaczył dlaczego), posiadającym ten zmysł, który podpowiada mi co dobre a co złe. Czekam już na ten dwunasty, nie zdany raz. Muszę się przekonać, czy naprawdę wtedy od ośrodka egzaminacyjnego dostaje się rower górski gratis.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

anek_ch, dodano 04.07.2008 17:44

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.